

Marian Płachecki

Przyczynek do sporu "młodej" i "starej prasy"

Napis. Pismo poświęcone literaturze okolicznościowej i użytkowej 15, 193-212

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Marian Płachecki

Przyczynek do sporu „młodej” i „starej prasy”

W niniejszym tekście chciałbym widzieć studium przypadku, odsłaniające aspekty funkcjonowania cenzury z reguły pomijane w literaturze przedmiotu, mające natomiast istotny wpływ na wzory kariery ludzi słowa oraz na społeczny obieg tekstów przez nich publikowanych. Zatargi z cenzurą oraz próby ich uniknięcia czy też przełamania opisuje się odruchowo jako grę pomiędzy pisarzem czy dziennikarzem a cenzorem i – ewentualnie — stojącym za tym ostatnim aparatem władzy. Tymczasem gra o dostęp na rynek słowa publicznego ma charakter znacznie bardziej skomplikowany. Rozgrywa się nie na jednej szachownicy, lecz na trzech.

Samo istnienie cenzury dowodzi, że w opinii rządzących bieżąca polaryzacja opinii publicznej doszła do stopnia zagrażającego niezakłóconej legitymizacji władzy. Skąd wynika, że gdziekolwiek cenzurę się zaprowadza, tam z miejsca wykwita kontr-cenzura; oddolna, mniej lub bardziej spontaniczna presja wywierana na piszących przez ich własne środowisko tudzież środowiska konkurencyjne oraz przez publiczność czytającą. Presja owa zobowiązuje piszącego do uprawiania ideowej kontrabandy, co najmniej zaś do zachowania widocznego umiaru w spolegliwości względem oczekiwań władz. Kto zatem w tym, co pisze lub mówi publicznie, czuje się zmuszony lawirować wobec dyspozycji agend cenzorskich, ten także z reguły żywi świadomość, że ulegając jednym ośrodkom opinii, naraża się innym. Przeświadczenie, jakoby aparat władzy represyjnej funkcjonował w zupełnej społecznej izolacji, mając przeciw sobie całą, wewnętrznie zintegrowaną wspólnotę, jest urazowym złudzeniem społeczności zdominowanych. Władza, surowa czy łagodna, zawsze dysponuje środkami pozwalającymi jej zjednywać sobie szczerych bądź tylko zastraszonych popleczników.

W miarę nasilania się rygorów cenzury wzmagają się swoisty terror patriotyczny wobec osób wypowiadających się publicznie. Obie strony dysponują środkami przymusu: ci więzieniem, tamci ostracyzmem towarzyskim z całym bogactwem środków dyskre-

dytacji zakłócających bądź wręcz paraliżujących postępy jakiegokolwiek kariery. Scena publiczna coraz wyraźniej nabiera charakteru schizofrenicznej współobecności dwu wykluczających się światów. Wyniszczająca wojna, udana lub stłumiona rewolucja, świeżo przegrane powstanie prowadzą wprost do ukształtowania się takiej sytuacji.

Obraz dodatkowo komplikuje rozgrywka na jeszcze innej, trzeciej planszy. Wydarzenia pociągające za sobą głęboką zbiorową traumę wyłączają poza zasięg i cenzury, i patriotycznej kontroli oddolnej całe pole doświadczenia społecznego, a mianowicie pamięć o przeżyciach podważających same zręby wspólnotowej tożsamości, aksjomaty, dzięki którym dana wspólnota stała się dla jednostki pierwotną grupą odniesienia. Dla takich przeżyć współcześni ich żywej pamięci nie znajdują języka. Oczywiście i one przenikają w końcu do obiegu publicznego, lecz z zasady na jego dalekich peryferiach. W ten sposób dochodzi do świadomości lokalnej ich pełna artykulacja. Co bynajmniej nie oznacza, by były obojętne dla tego, co dzieje się na głównych scenach życia publicznego. Treści tabuizowane podskórnie, chciałoby się rzec: przedartykulacyjnie, kształtują społeczne ramy tego, co w ogóle w danej wspólnocie i chwili da się napisać, powiedzieć publicznie. Na trzeciej planszy, o której już wyżej wspomniano, toczy się w świadomości piszącego rozgrywka pomiędzy tym, co jest możliwe do powiedzenia, a tym, czego powiedzieć nie można.

1.

Edward Lubowski, znany w Warszawie dziennikarz, człowiek teatru, w numerze „Kłosów” z 25 stycznia 1872 r. wydrukował list do redakcji.

Tekst właściwy został poprzedzony notatką utrzymaną w tonie prywatnym, acz nieco sztywnym i przywodzącym na myśl formalne noty wymieniane przez sekundantów, negocjujących warunki pojedynku:

Szanowny Redaktorze! Załączoną tu konieczną odprawę „Przeglądowi Tygodniowemu”, którego bezustanne, skierowane głównie przeciw mojej działalności w „Kłosach” napaści, pośrednio pisma tego także dotyczą, racz łaskawie w najbliższym Numerze zamieścić¹.

Na treść pisma protestacyjnego Lubowskiego składa się wnioskowanie z przemilczaną konkluzją. Otóż „Przegląd Tygodniowy” prowadzony jest na sposób francuskiej prasy ulicznej, w szczególności zaś paryskiego *Le Figaro*². To przesłanka pierwsza. Dru-

¹ E. Lubowski, *Do redakcji czasopisma „Kłosy”*, „Kłosy” 1872, nr 343 (13/25 stycznia), s. 67.

² Najstarszy, wydawany od 1826 roku i popularny do dzisiaj dwutygodnik, od 1866 roku dziennik francuski. W 1871 roku występował przeciw Komunii Paryskiej; był pierwszym czasopismem przez

ga mówi o tym, że w Peszcie³ niedawno tego rodzaju „bandyckie dzienniczki” usunięto z rynku dzięki zgodnie powziętemu bojkotowi:

Przemilczenie w liście oczywistego wniosku podnosiło agresywność wystąpienia. Zwłaszcza jeśli miało się na stole 19 numer „Kuriera Warszawskiego” z tego samego dnia, a w nim identyczny tekst Lubowskiego opatrzony aprobowanym komentarzem redakcji:

zgadzając się w zupełności w ocenie podstaw bytu i celów „Przeglądu” zawartej w artykule p. Lubowskiego uznaliśmy za słuszne i pozytywne wydrukować ten artykuł w całości⁴.

W kręgach zbliżonych do rynku prasowego wiedziano, że autor protestację swoją rozesał także do wielu innych redakcji, które jednak odmówiły druku.

Odczytanie „rewolwerowe” afery Lubowskiego nie kłóci się bynajmniej z faktami. Istotnie, „Przegląd Tygodniowy” dobierający się do skóry — nierzadko w słowach obraźliwych — warszawskim „powagom” zdradzał pokrewieństwo z prasą brukową.

Jednakże taka interpretacja awantury z Lubowskim nie daje się utrzymać. „Paszkwil” drukowany w „Kłosach”⁵ pociągnął za sobą reperkusje rozleglejsze i poważniejsze aniżeli te, jakie dałyby się wytłumaczyć w zgodzie z zaproponowanym odczytaniem.

2.

W ostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego” z roku 1870 Aleksander Świętochowski rozpętuje kampanię przeciw autorytetom, mającą odtąd nadawać ton jego publicystyce przez wiele sezonów.

Nasi [...] pseudokrytycy dla własnej i cudzej wygody, zatwierdziwszy kogoś raz w urzędzie wielkiego pisarza, nie dają mu już nigdy dymisji, choćby nawet ze wszech miar na to zasługiwał. [...] Dzięki tej dobroczynnej zasadzie świat wielkości jest już dziś wcale dostatnio zaludniony, panuje w nim spokój, wzajemna zgoda [...] i – ciemnota⁶.

nią zamkniętym. Dzisiejszy prasoznawca zapewne nie zaliczyłby go do tak niskiej kategorii. Po powrocie na rynek dziennik wyrobił sobie poważanie wśród publiczności arystokratycznej i mieszczańskiej.

³ Budę, Obudę i Peszt połączono w miasto Budapeszt 22 grudnia 1872 roku.

⁴ „Kurier Warszawski” 1872, nr 19, s. 2.

⁵ Kwalifikacja ze strony Eks-dziennikarza; por. np. ze s. 147. „Paszkwilem” wystąpienie Lubowskiego nazywa również „Przegląd Tygodniowy”; por. *Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 6, s. 45.

⁶ Cyt. za: M. Brykalska, *Aleksander Świętochowski. Biografia*, t. 1, Warszawa 1987, s. 59. Zob. też: „stanowczo odmawiamy prawa słuszności tej zasadzie, która usuwa od wszelkiego publicznego sądu kreacje kalekie” (A. Świętochowski, „Skrupule”, *powieść przez K. Chłędowskiego*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 36, s. 292). Pod zapalczwym piórem młodego krytyka wkrótce niemal cała prasa warszawska

Pierwsze *Echa warszawskie*, stały felieton drukowany w „Przeglądzie Tygodniowym” począwszy od trzeciego numeru pisma z roku 1871, otwiera relacja z wieczorku u Deotyminy, bliska poetyce *Zielonej gęsi* Konstantego Galczyńskiego. O igrającej z absurdem stylistyce filipik Świętochowskiego przeciw prasie warszawskiej daje pojęcie taki chociażby *passus*:

Znane są wszystkim żalosne kwilenia naszej prasy na powszechną obojętność do [*sic!* — dop. M. P.] literatury, na stagnację w handlu księgarskim, na obskurantyzm prowincji, słowem na zupełny brak czynnego poparcia ze strony społeczeństwa⁷.

Co może mieć autor na myśli, wzmiankując w zdaniu, *nota bene* skażonym rusycyzmem, o uzalaniu się „na powszechną obojętność do literatury”, daje wyobrażenie list Kraszewskiego wysłany do Teofila Lenartowicza w styczniu 1865 roku. Po naszkicowaniu wizerunku ludzi w zupełnej prostracji i otumanieniu „idących do Moskali”, godzących się znosić od nich niekończące się upokorzenia, byle znaleźć jakieś środki do życia, dodaje:

Najsmutniejsze to, że kraj na literaturę zupełnie obojętny. [...] Pamiętam dobrze stan po 1831 r., ale porównania nie ma wyczerpania i bezsilności, jak nie ma porównania ucisku [...]⁸.

Dotykam kwestii ważnej. Najistotniejszą przeszkodą w poprawnym rozumieniu odgłosów życia publicznego docierających do nas z postyczniowego Królestwa Polskiego, nie jest bynajmniej uciekanie się do mowy ezopowej, erudycyjnych, mitologicznych lub historycznych paralel tudzież innych wyszukanych chwytów antycenzuralnego aparatu wymowy. Prawdziwą pułapką są zdania, w których kontekstowo obciążone zostają wyrazy najzwyczajsze w świecie, banalne, używane w wypowiedziach potocznych niemal automatycznie, bez namysłu, padające w drugorzędnych lub nienacechowanych pozycjach zdania. Pod cenzurą dawano się powiedzieć wszystko — lub prawie wszystko; jeśli opanowało się sztukę nie tyle aluzji czy paraboli, ile bagatelizującej składni, zonglerki kwantyfikatorami oraz przejściami od abstraktu do ściśle zlokalizowanej *de-ixis* i konkretności. Wszystkie te sprawności zaś były wówczas elementarnym warunkiem uprawiania zawodu literata. Jeśli się ich nie miało, trzeba było iść na konduktora kolei albo woźnicę tramwajów konnych.

miała się okazać domem kalek.

⁷ [A. Świętochowski], *Prasa warszawska*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 16, s. 121.

⁸ J. I. Kraszewski, T. Lenartowicz, *Korespondencja*, oprac. W. Danek, Wrocław 1963, s. 81.

Gdy Kraszewski poza zasięgiem cenzury pisze: „najsmutniejsze to, że kraj na literaturę zupełnie obojętny”, to jest to eufemizm sygnalizujący opinię trudną do wykrztuszenia: nikt już nie ogląda się na rodzime tradycje i tożsamość.

Świętochowski w parę lat później, licząc się z poplamionymi inkaustem paluchami cenzora, a jeszcze bardziej chyba ze skłonnością do ostracyzmu opinią miejscową, czyni co może, aby w jego zdaniu „literatura” nie rzuciła się w oczy. Zaslania ją efektowną finfą ekspresywną („żałosne kwilenia”). Zagrzebuje w rozprasającym uwagę wyliczeniu: wszędzie „kwilą” nie tylko na indyferentyzm wobec „literatury”, ale i „na stagnację w handlu księgarskim, na obskurantyzm prowincji”, na „brak czynnego poparcia”. Zważywszy, że „literatura” naówczas oznacza przeważnie tyle, co „piśmiennictwo”, gotowiliśmy w końcu uznać, że prasa „kwili” nad „brakiem poparcia” dla niej samej.

Tymczasem

jest pewna sfera, w której nam dozwolono działać samoistnie [...] w tej sferze możemy wyrażać wpływy posługujące dobrem celom społeczności i łagodzące przeciwne warunki [...] gdybyśmy zmierzyli całą przestrzeń możliwości — oszczędzilibyśmy sobie bardzo wiele złego⁹.

Gdybyśmy... W desperacko entuzjastycznym omówieniu sukcesów roku 1872 Świętochowski porzuca tryb warunkowy. Co tam „gdybyśmy”! To się już wokoło dzieje.

Spoleczeństwo przekonawszy się dowodnie, że [...] nieogłędność i bierne wyczekiwanie tak mocno mu szkodzą, że na koniec w zakresie swej sytuacji nie wyczerpuje wielu źródeł korzyści, przez prawa krajowe zagwarantowanych, [...] zaczęło wymierzać we wszystkich sferach życia obszar swej możliwości i samodzielności¹⁰.

Pierwsze z dwóch przytoczonych zdań, utrzymane w retoryce senatorskiej prozy rytmicznej, jest prawdziwym arcydziełem uchylania się od cenzorskich pretensji przez bagatelizowanie najmocniej obciążonych politycznie punktów przekazu. Punktem takim jest oczywiście „nieogłędność”, znana nam już z *Absenteizmu*, publikowanego rok

⁹ [A. Świętochowski], *Absenteizm*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 11, s. 2.

¹⁰ [Idem], 1872. (*Wspomnienie*), „Przegląd Tygodniowy” 1875, nr 1, s. 1. W innym akapicie tekstu podkreśla wartość zbiorowego trudu, „gdy warunki wiążą się w pasmo przeszkód rozgałęzionych” (*ibidem*). Owo „pasma” to rzecz jasna restryktywne ograniczenia prawne w wielu domenach kultury zniewolonej. W *Projektomanii* powraca do nuty wiosennej: „prąd ten [inicjowany przez młodych, dzielnych, „chłodną wiedzą i gorącym uczuciem nasiąkłych” — dop. M. P.] [...] nie tylko zdołał unieść dusze śpiące w najodleglejszych zaściankach, nie tylko przeniknął natury zmrożone w ciemnych kątach kraju, ale nawet wstrząsnął organizmy skamieniałe w długoletniej rutynie” [A. Świętochowski], *Projektomania*, „Przegląd Tygodniowy” 1873, nr 6, s. 41.

wcześniej. Nie podejmuję się własnymi słowami wyliczać, co kryje się pod jednym błahym słówkiem użytym w takim kontekście. Albo co w dwa tygodnie później ma na myśli poeta „trzeźwości i rozwagi”, wzywając: „przestańmy tłumaczyć swoje zbroczenia figlami [...]”¹¹. Sięgnijmy więc do pracy Jerzego Jedlickiego *Błędne koło. 1832–1864*, do jej ostatniego rozdziału.

Liczyby są niepewne [...]. Powiedzmy więc tyle: że powstanie zdziesiątkowało pokolenie mężczyzn urodzonych w latach 1830–1845, wychowanych w domach urzędniczych, ziemiańskich, mieszczańskich lub żydowskich, w Królestwie Polskim, na Litwie, Rusi, w Galicji, Wielkopolsce, uczących się, studiujących [...] albo mających ledwie rozpoczęte — i porzucone — kariery zawodowe. [...] Tysiące żołnierzy powstania i członków organizacji cywilnej, na Litwie i w Królestwie, przeszły egzamin brutalnego śledztwa, zakończonego szubienicą, plutonem egzekucyjnym, albo — częściej — wyrokiem zesłania na Syberię, do kopalń nerczyńskich, do rot aresztanckich, bądź tylko na osiedlenie. Część, zwłaszcza bardziej kompromitowanych, zdołała unieść głowy za granicę, tworząc nową falę bezdomnej emigracji politycznej, zrazu ruchliwej, skłóconej [...], a po klęsce Francji w wojnie 1870 roku i po Komunie miasta Paryża przycichłej i z wolna wtapiającej się w obce społeczeństwa. [...] W zaborze rosyjskim pozostały zgłiszcza spalonych wsi, stratowane pola, podupadłe miasta, skonfiskowane lub przymusowo sprzedane majątki, szczyrby po jeszcze jednym straconym pokoleniu¹².

Cały ten apel poległych bez nazwisk Świętochowski przy jednej okazji zakrywa słówkiem „nieogłędność”, przy innej — „figle”. To nie jest niewinny greps cenzuralny. To nie jest „nieogłędność” ani śmieszny „figiel”. W rocznicowym 1872 roku musiało to się czytać jako wyraz smarkaterii zapierającej dech w piersiach.

Postulat praktycznego testowania życzliwości władz w wersji obranej z tromtradcji do białej kości, podanej w suchej, rzeczowej formule samego Świętochowskiego, brzmi tak:

gdzie nie można uratować wszystkiego, tam trzeba ratować to, co się da. A więc skoro pewne sfery pracy są z konieczności ograniczone i dla

¹¹ [A. Świętochowski], *Nie w porę*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 3, s. 17.

¹² J. Jedlicki, *Błędne koło. 1832–1864*, w: *Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918*, red. J. Jedlicki, t. 2, Warszawa 2008, s. 287.

wszystkich jednostek niedostępne, potrzeba zatem wyczerpać wszystkie możliwe korzyści tych działań, które są dla wszystkich otwarte [...]”¹³.

W ówczesnych realiach oznaczało to, że skoro przed młodą inteligencją zamknęły się możliwości kariery w biurokracji rosyjskiej¹⁴ — przed dekadą stojące otworem dzięki polonizacyjnej reformie Wielopolskiego dopóty, dopóki nie zburzyło wszystkiego powstanie i jego skutki — oraz w sądownictwie Królestwa, wypada swoje dzieci uczyć głównie przedmiotów ścisłych i kształcić je do zawodu: do handlu, rzemiosła i przemysłu.

Czytelnikowi prasy warszawskiej przełomu lat 60. i 70. XIX wieku mogły się oparzyć, jeśli kwestia jego samego nie dotyczyła, gorzkie uwagi o tym, jak trudno młodym ludziom po szkołach, w tym również Szkole Głównej, znaleźć pracę. Do przemysłu czy rzemiosła nie są przygotowani, zresztą nikt ich tam nie chce¹⁵. Do handlu iść wstyd. Co zostaje? „Literatura” czyli „piśmiennictwo”, czyli prasa, bo w Warszawie wychodzi wtedy ledwie po dwa–trzy tuziny książek rocznie. Literatura (zatem: prasa) — jak pisał Świętochowski na bieżąco w połowie 1872 roku — jest „przybytkiem, gdzie swoboda poruszeń jest większa aniżeli na każdym innym polu”¹⁶.

Wojna Francji z Prusami, zjednoczenie Niemiec i powstanie Drugiej Rzeszy przeobraziły geopolityczną wyobraźnię Europy. W polskich kręgach opiniotwórczych z dnia na dzień rozdziły się i wnet upadały szaleńcze nadzieje. Wszystko razem sprawiało, że popyt na doniesienia i komentarze prasowe wzrósł gwałtownie. Reakcja rynku prasowego, jaka wówczas nastąpiła, była charakterystycznym przejawem ogólnej sytuacji społecznej. Rosła liczba tytułów, a nie stron. Redakcje zamiast przyjmować nowych współpracowników i adeptów po to, aby móc zwiększyć atrakcyjność i obfitość drukowanych materiałów, pozostawały w zasiedziały, starych zespołach. Wolumen „bibuły”, jak się wówczas mówiło, rósł. Ale z innego powodu: swój krąg publiczności

¹³ [A. Świętochowski], *Co robić*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 37, s. 290.

¹⁴ To, że, jak podaje Magdalena Micińska, sytuacja była korzystniejsza w miastach prowincjonalnych, zwłaszcza małych, w niczym nie zmieniło trudności startu młodej inteligencji warszawskiej. (Por. *eadem*, *Inteligencja na rozdrożach 1864–1918*, w: *Dzieje inteligencji polskiej...*, *op. cit.*, t. 3, s. 49). Jest czynny głęboko znamienym i znaczącym dla rozumienia wagi roku 1864 dla historii naszej inteligencji fakt, że oboje autorzy, zarówno Micińska jak i Jedlicki, czują się zobowiązani umieścić tę datę jako graniczną w swoich narracjach. Jedlicki mógł przecież w tytule wstawić 1863 rok, nawet jeśli w tekście doprowadził opowieść do końca 1864 roku. Micińska mogła w prologu uwzględnić 1863 rok, zostawiając w tytule rok 1864. Oboje też mogli użyć tej samej daty 1863. Na szczęście żadnej z konkurencyjnych opcji nie przyjęli. *Nota bene* tom pierwszy trylogii, pióra Macieja Janowskiego, ma w tytule jako graniczną datę 1831 rok, a tom drugi, autorstwa Jedlickiego, 1832.

¹⁵ „Nasze fabryki zarygłowały się przed wszystkimi, którzy przychodzą prosić o pracę i posiadają wyższe wykształcenie” [A. Świętochowski], *Stowarzyszenia w celach umysłowych*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 44, s. 346.

¹⁶ [A. Świętochowski], *Młodzi*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 23, s. 178.

zdobywały tytuły nowe bądź — ze względu na trudności w uzyskaniu koncesji od władz — przejmowane ze szczątkową prenumeratą. W roku 1871, po trosze z rozpędu także w 1872, rynek prasowy był rynkiem kwitnącym czy też „wschodzącym”. Zarazem wszakże, jakby to nie było trudne do pojęcia, był rynkiem zamkniętej rekrutacji.

Jeśli troska o zachowanie tradycji jest oznaką po pierwsze plątania się pieluch między nogami młodego człowieka niezdolnego do samodzielnego utrzymania higieny osobistej; po drugie, jeśli na rynku liczy się, bo tylko ona chleb daje, wyłącznie neutralna językowo wiedza przyrodnicza; i po trzecie, jeśli na miejscu pracy nie ma; to cóż ma ze sobą poczuć młody somnambulik wyrwany ze snu? Pozostaje mu jechać do Rosji, by kształcić się na inżyniera od dróg i mostów albo na lekarza. I tam już zostać; pracować tam, gdzie praca czeka. A było jej wówczas najwięcej w południowo-zachodnich i noworosyjskich prowincjach imperium, na północ od morza Czarnego i Azowskiego; tam, gdzie Rosja spychała swoich Żydów.

3.

Raz jeszcze rozłożmy na stole 343 numer „Kłosów” z roku 1872. Jeśli przejrzeć „list” Edwarda Lubowskiego uważniej, dochodzi się do wniosku, że aranżowana w nim sytuacja dialogu jest całkiem skomplikowana. Zaczepiany przez dziennikarzy „Przeglądu” nie odpowiada żadnemu z nich z osobna, lecz uosobionemu „Przeglądowi” właśnie. Odpowiada, ale i nie odpowiada. Zamiast odnieść się do stawianych mu zarzutów, rozwodzi się nad strategią polemiczną przeciwnika. Dąży więc do kompromitacji drugiej strony nie poprzez udowodnienie jej kłamstwa bądź przesady, ale przez odsłonięcie zabiegów polemicznych przez nią stosowanych.

Kiedy w ówczesnej prasie dochodzi do kontrowersji, z reguły mają one podobną modalność, chwiejną, przechylającą się to na stronę relacji, to ku wariantowi polemicznej zaczepki, czasem wręcz „pyskówki”¹⁷, to na rzecz zawziętej dysputy. Po stu trzydziestu paru latach czyta się to z rozkoszą. I czyta się to cholerycznie, jeśli się pomyśli jak to musiało brzmieć, zwłaszcza dla środowiska dziennikarskiego, czytane z tygodnia na tydzień w 1871 czy 1872 roku. Tym bardziej, że przy pewnych sformułowaniach, tematach, aluzjach czy kpinach, zachodziła obawa, że nie chodzi o „puste gadanie” i że do rozmowy włączyć się może strona trzecia, z nahajką.

¹⁷ Typowy poeta — sportretowany przez Świętochowskiego — serwuje rzekomo „odgrzewane mydliny gwoli apetytowi niektórych pism smakujących w podobnej stawie” ([A. Świętochowski], *Passiożyty literackie*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 29, s. 233). O „rozkładającym się trupie arystokracji” przeczytamy w tekście *Zabawnie i smutno* („Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 48, s. 390). „Prawdziwej sile”, właściwej „młodemu”, w innym miejscu autor przeciwstawia „malpie naśladownictwo pojęć”, „czolganie się przed powagą zasad”, „niewolnicze lizanie stóp”, „beczenie stada głów ciemnych”. (Por. *Starzy*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 24, s. 185).

Możemy już wyjaśnić, dlaczego ustanawiana w liście otwartym Edwarda Lubowskiego do „Kłosów” sytuacja dialogu jest tak zagmatwana? Dlaczego jest zarazem scenariuszem dialogu i wzgardliwej odmowy dialogu? Dzieje się tak dlatego, że list ów jest wypowiedzią o rozszczępionym adresie, wypowiedzią dopełnianą szeptaną propagandą dyskredytacyjną.

Prasa, mówi Lubowski między wierszami i w niejakiej sprzeczności ze stanem faktycznym, nie jest rozrywką klasy inteligentnej w godzinach wolnych od pracy. Gazety funkcjonują w dwukierunkowej osmozie językowej z „ogółem”, co w tym kontekście oznacza — z masami. Przejmują ich socjolekt, by następnie, posługując się nim biegle, dzień w dzień kształtować wyobrażenia i poglądy prostych ludzi wedle upodobań redakcji. Wypadki francuskie niech służą nam za przestrożę. U nas także mamy rok 1871, 1872. U nas również, i to także w miastach, rozstrzyga się walka o dusze ludu. Raz już, niedawno, ją przegraliśmy. Strzeżmy się, by jej nie przegrać po raz wtóry, ostatni.

Wypadki [...] roku 1870 i 1871 dowiodły, o ile prasa periodyczna, przemawiająca językiem przystępnym codziennie do ogółu — wpływać może na ogólne usposobienia i przekonania...¹⁸

W Peszcie — pamiętamy — poradzono sobie z „bandyckimi dzienniczkami”. Dlaczego jednak w riposie „Przeglądowi Tygodniowemu” znieacka mówi się o dziennikach? Bo przecież ich pisemko pokątne redagują na modłę gazety, a wcale nie tygodnika. Ożywia je głód skandalu, nie zaś wierność wartościom dla „ogółu” cennym, wskazanym, podzielanym i przez nas. Redaktorzy tygodnika nie żywią sami nawet tych poglądów, które podają za swoje i dla których starają się pozyskać publiczność. Ich jedynym światopoglądem jest zysk, a jedynym celem wzrost nakładu:

nie chodzi tu ani o pozytywizm, ani o przeprowadzenie programu naukowego, ale po prostu o k a w a ł e k c h l e b a [...]¹⁹

Cóż więc możemy począć? Trzeba im odbić współpracowników i reklamodawców. Kiedy i „Przegląd” straci powab nowoczesności, także ci nieliczni spośród kręgów wykształconych, których zwabiły efektowne tytuły i zachęty do przyjmowania, a w przyszłości rozwijania najnowszych osiągnięć nauki europejskiej, zorientują się, że są to tylko haselka źle osłaniające brudne interesy środowiskowe tych panów.

Wystąpienie Lubowskiego przyniosło efekt piorunujący. Adam Wiślicki próbował robić dobrą minę do złej gry. Odpowiadając w *Echach warszawskich*, przelotnie zagroził

¹⁸ E. Lubowski, *Do redakcji...*, op. cit., s. 67.

¹⁹ *Ibidem*, s. 68.

procesem o „potwarz” — „są w kodeksie paragrafy [...]”, wyraził zdumienie — „Dlatego, że kilku miernych pisarzy zostało zgromionych, trzeba pozbawić kilkanaście piór dzielnych, pełnych zapału i przyszłości udziału w literaturze?” — a felieton kończył w nastroju dionizyjsko–kupieckim:

tak! Największym naszym błędem jest... trzy tysiące abonentów! Nie mogąc nas zdusić milczeniem, postanowiliście zabić, lżąc... Prosimy o więcej!! Paszkwile wasze są dla nas zaszczytem, bo pochodzą z kół fanatyzmu, zacofania i prywaty²⁰.

W następnym numerze do „potwarzy, zarzutów i kłamstw p. Lubowskiego” powrócił, jeśli za dowód posłużyć może charakter inwektyw i pióro²¹, Aleksander Świętochowski. Nawiązując do odpowiedzi Wiślickiego jako „człowieka prywatnego i wydawcy”, swój własny tekst przedstawił „szanownym czytelnikom” jako „obronę zsolidaryzowanych z nim [Wiślickim — dop. M. P.] współkolegów i współpracowników, tworzących moralną jednostkę — redakcję”²².

Obrona Wiślickiego, na pierwszy rzut oka (a nawet po powtórnej lekturze) nieprzebierająca w słowach, zjadliwa, retorycznie świetna, jest zarazem początkiem rejterady Świętochowskiego z pola walki, którą sam rozpętał do granic katastrofy. Rejterada trwać będzie do chwili wyjazdu z Królestwa do Lipska przez Myślenice w maju 1874 roku w celu uzyskania doktoratu. Jest trudna do zidentyfikowania, bo Świętochowski w ariergardzie „odgryza się” ostro siłom nastającym na jego topniejące tabory.

Po napaści Lubowskiego redakcja „Przeglądu Tygodniowego” otrzymała z Węgier list od Leonarda Sowińskiego, który pisał:

Nie zgadzam się z zapatrywaniem „Przeglądu Tygodniowego” podkopującego przeszłość (bo przeszłość jest korzeniem pnia i konaru teraz-

²⁰ [A. Wiślicki], *Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 4, s. 26–27. Podobnie w numerze o kilka tygodni wcześniejszym: „Wiemy, że wywołujemy silne nienawiści i raduje nas to mocno”. [B. a.] *Korespondencja od i do Redakcji*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 48, s. 388. Jeszcze wcześniejsza wersja Świętochowskiego: „nie wstydzimy się wyznać głośno, że lekceważymy wszystko, co zaraża niezdrociem i martwością” (*idem*, *My i wy*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 44, cyt. za: *Programy i dyskusje literackie okresu pozytywizmu*, red. J. Kulczycka–Saloni, Wrocław 1985, BN I 249, s. 62).

²¹ „Karczemne wymysły”, „rynsztokowe epitety”... [B. a.], ★★★, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 5, s. 34.

²² Z niejasnych względów, mających być może coś wspólnego z sympatią dla bohatera książki, Maria Brykalska tekst drukowany w tygodniku anonimowo i bez tytułu opatruje tytułem *Odpowiedź redakcji* oraz pomija w indeksie artykułów autorstwa Świętochowskiego. Nie wiąże także okoliczności towarzyszących powstaniu tekstu z podjętą przez Leopolda Mikulskiego nieudaną próbą zebrania podpisów pod kontr–listem protestacyjnym przeciw pamfletowi Lubowskiego. Por. *Aleksander Świętochowski, Biografia*, *op. cit.*, s. 80.

niejszości), lecz z oburzeniem odczytałem memoriał p. Lubowskiego przeciwko wolnemu głosowi²³.

Odpowiedź „Przeglądu Tygodniowego” trafiła do *Ech warszawskich* w numerze z bezimiennym artykułem, w którym wspierano Wiślickiego. Zapoznając się z nią, czytelnik przecierał oczy ze zdumienia. Zaledwie parę tygodni wcześniej czytał poematowanie na „bałwochwalstwo przeszłości”:

Ołtarze i bogi nasze nie za nami, ale przed nami. Każde wczoraj kryje się pod mogiłą — nie zmieniamy jej w kolebkę j u t r a ! [...] nie karmimy się tym, co zaraża martwością, ale tym, co wlewa siłę. To, co skonało, oddajmy grobom, pilnujemy tego, co się dopiero rodzi²⁴.

Teraz jednak czytelnik pisma ma docenić, że redaktor „Ech warszawskich” skwapliwie korzystał z nadarzającej się okazji, by „najenergiczniej zaprotestować” jakoby odcinali korzeń od pnia. Wprost przeciwnie, czytał:

[my — dop. M. P.] również jak p. Sowiński i cały ogół stoimy na ciągłości rozwoju historycznego. [...] I być inaczej nie może, bo wszyscy jesteśmy sumą tego, co było. My tylko, całą chatę oddając pod straż bogów domowych, chcemy [...] aby otworzono podwoje temu wszystkiemu, co dobre, rozumne i piękne, skądkolwiek pochodzi²⁵.

²³ [A. Świętochowski?], *Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 5, s. 34.

²⁴ [Idem], *Opinia publiczna*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 1, s. 2. Wersją wcześniejsza z artykułu programowego: „pragniemy [...] skierować uwagę przed, a nie poza siebie [...]” (*idem*, *My i wy*, op. cit., s. 56). „Przeciwko [...] sielankowości, nieopatrzności, rachowaniu na los, na nieokreślone czynniki, postawić chłodny rachunek rzeczywistości, jej niezłomne prawa, przeciwko błędom biorącym początek z przeszłości uwagę, iż praca społeczna idzie naprzód, że zadania nasze znajdują się przed nami” ([idem?], *Dla czego?*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 22, s. 169). Z równie radykalnym, globalnym odrzuceniem tradycji jako anachronizmu w świecie człowieka nowoczesnego spotkamy się dopiero u dwudziestowiecznych futurystów. Nie Gombrowicz pierwszy był w naszej tradycji propagatorem „Synczynny” jako odtrutki gwałtownej na „ojczyznę”. Pierwszoosobowego bohatera *Trans-Atlantyku* po wizycie w Poselstwie, gdzie przed posłem w hołdzie klęczał — „ale klęczenie moje bardzo Puste [...]”, „chętna wzięła o tej godzinie nocnej abym do Syna szedł, Syna zobaczył... [...] Jakoż bez trudności do pensjonatu wszedłem i pokoik ten odnalazłem, a tam widzę: goły na łóżku leży, snem zdjęty [...]”. Owóż Leży, Leży. Tu więc mnie niespokojność jakaś zdjęła i powiadam, ale nie na głos, tylko po cichu: — Ano, przyszedłem tutaj z niespokojności o przyszłość Narodu naszego, który od Wrogów pokonany, że nam i nic więcej, tylko Dzieci nasze pozostały.” (W. Gombrowicz, *Dzieła*, red. nauk. J. Błoński, t. 3: *Trans-Atlantyka*, Kraków 1986, s. 74–76). Czy ktoś kiedyś wreszcie wyszarpnie się z utartej koleiny gombrowiczologii i w *Trans-Atlantyku*, jak w *Nurcie* Wacława Berenta, ujrzy i pokaże centon przytoczeń z polskiej historii idei czasu rozbiorów?...

²⁵ [A. Świętochowski?], *Echa warszawskie*, „Przegląd Tygodniowy” 1872, nr 5, s. 34. Skądinąd au-

Aby zrozumieć doprawdy niezwykle tryb, w jakim rozwija się publicystyka Świętochowskiego w latach 1870–1874, trzeba pamiętać, że równoległe do wyliczonej serii gestów polubownych, w różnych, a czasem i w tych samych, tekstach autor z pełną determinacją trzyma się swych wyjściowych założeń. Nieustępliwie buduje program znany nam dzisiaj jako „pozytywizm warszawski”. Na skutek ataku Edwarda Lubowskiego, ataku, który był jedynie zwieńczeniem cichego a groźnego zawirowania opinii wokół „Przeglądu Tygodniowego”, nastąpiło zaskakujące rozdwojenie jaźni autorskiej Świętochowskiego–ideologa. Od tego momentu w jego tekstach coraz wyraźniej rysowała się osobowość reaktywna, skłonna do kompromisów, a nawet ustępstw, ciężąca ku postawie obranej przez Juliana Ochorowicza i Piotra Chmielowskiego. Jednocześnie w dziennikarstwie Świętochowskiego coraz ostrzej manifestowała się osobowość autorytarna, przywódcza, żądna posłuchu.

Kiedy w numerze dziewiętnastym Adam Wiślicki poczuł się zobowiązany pogłoskami krążącymi po mieście oświadczyć publicznie, że jeszcze ktoś w ogóle mu w redakcji został, nie było już ani w niej, ani w gronie współpracowników Ochorowicza i Chmielowskiego, najbliższych kolegów Świętochowskiego. Po przerwaniu milczenia w liście Lubowskiego, opublikowanym przez dwa poczytne tytuły, pęknięć w „stajni Wiślickiego” nie dawało się już dłużej ukryć. Choć próbowano: Świętochowski kazał wierzyć, jakoby

zwiększający się napływ sił świeżych nie mógł się zmieścić w szczupłych ramach małego pisma i musiał otworzyć dla siebie inne kanały [...] ²⁶.

Ochorowicz i Chmielowski przeszli do „Niwy”, obaj zaczęli drukować w „Opiekunie Domowym”, bez zbędnej zwłoki dystansując się wobec zaczepnej strategii „Przeglądu Tygodniowego” i jego wzgardy dla przeszłości Polski niepodległej. Akcentowali na przykład „narodowy” charakter „pracy organicznej”²⁷, przez Świętochowskiego notorycznie (acz nie bezwyjątkowo) pomijany.

Przede wszystkim zaś w artykule programowym zatytułowanym wprost i po prostu *Tradycja* dali odprawę Świętochowskiemu jako autorowi *My i wy*:

tor mógłby się rzeczywiście powołać na opinię Chmielowskiego: determinizm gwarantuje „postęp i łączność przeszłości z czasami obecnymi i przyszłymi [...]” (P. Chmielowski, *Statystyka i moralność*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 45, s. 430).

²⁶ [A. Świętochowski], *Młodzi*, *op. cit.*, s. 179.

²⁷ Por. [B. a.], *Jeszcze o pracy organicznej*, „Niwą” 1872, nr 42, s. 130. Podane w pierwszym numerze „Niwy” zapewnienie, jakoby gromadka późniejszych redaktorów myślała stworzyć „pismo naukowe” tego typu już w połowie roku 1869 nie brzmi wiarygodnie, zwłaszcza że sygnalizowane przy tej okazji zamiary wskazują na chęć zdystansowania się wobec agonistycznej strategii „Przeglądu Tygodniowego”. Ma to być „pismo z programem szerokim, uczciwą, bezstronną krytyką, pismo popularne, dla każdego dostępne [...]” ([b. a.] *Kronika miejscowa*, „Niwą” 1872, nr 1, s. 10).

Prąd przeszłości stworzył dzieje nasze. On nas wydał, on w nas tchnął siłę życia, siłę ideałów — nawet tych, które z przeszłością zerwać pragną. Jest bowiem węzeł, którego śmierć jednostek nie rozrywa, jest władza, bez której nie ma postępu [...] — nazwałbym ją: p a m i ę c i ą l u d ó w ...²⁸

Z dalszej treści wynika jednoznacznie, że słowo „tradycja” w intencji autora oznacza tożsamość narodową gwarantowaną przez żywą więź z dziedzictwem przeszłości. „Każdy objaw najżywotniejszej działalności ma w sobie zakłętę ślady tradycji [...]”²⁹. Jak widać, „Opiekun Domowy” przywraca odniesienie do rzeczywistości kwalifikacjom przez doktrynera „Przeglądu Tygodniowego” postawionym na głowie: pamięć Polski niepodległej jako motywacja inicjatyw współczesnych jest czynnikiem życia, a nie letargu czy śmierci. Młodzież winna znajdować dla siebie pole we współdziałaniu z ludźmi dojrzałymi, niekoniecznie zaś stracając ich z zajmowanych posad i odrzucając doświadczenie przez nich nabyte³⁰.

Natura nie znosi tych szalonych przeskoków rozwoju, jakie ludzie niektórzy teorykami swymi w społeczeństwie urzeczywistnić by chcieli³¹.

Waga tradycji jest największa w dziedzinie religii, najmniejsza w nauce. Stąd nie-trudno samemu wysnuć wnioszek, że scjentyzm doktrynalny zwrócony jest *eo ipso* przeciw religii, a tym samym przeciw narodowej tradycji.

Podniesienie naukowego poziomu oświaty, prasy czy szerzej rozumianej świadomości potocznej, cel sam w sobie chwalebny, nie było wówczas jedyną stawką w grze progresistów o władztwo dusz. Chodziło także o ujęcie zbiorowej pamięci w ryzy *quasi*-naukowego wywodu, neutralizującego dramat wyboru opcji jako siły sprawczej przemian dziejowych. O tym, co nastąpi, co nie, decydują niedostępne naszej bieżącej orientacji w świecie prawa natury, spod których i historia nie wyla-

²⁸ [B. a.], *Tradycja*, „Opiekun Domowy” 1872, nr 18, s. 137.

²⁹ *Ibidem*, s. 138.

³⁰ Podobnie pisał w „Opiekunie Domowym” w 1872 roku Gustaw Doliński w swych *Wskazówkach postępu*: „Więc my, młodzi wprzęgniemy się ochoczo do rydwanu wiozącego losy nasze, ciągnijmy go, póki sil stanie. Ty, starsza generacja, wy ludzie doświadczenia i zasługi, ujmijcież wodze i kierujcie nami” (*idem*, *Wskazówki postępu*, „Opiekun Domowy” 1872, nr 40, s. 317).

³¹ *Ibidem*. Nieco dalej wraca topos drzewa i konarów: „największe wysiłki pojedynczego człowieka i pojedynczych grup ludzkich nie zdołają wyrwać z łona społeczeństwa konarów tradycji [...]” (*ibidem*). *Nota bene* autorowi tak bardzo zależy na ostatecznym, trwałym osadzeniu w podłożu owego drzewa tożsamości na dobre i złe, że ukazuje je jako wrosnięte w ziemię nie tylko korzeniami, lecz i – gałęziami!

muje się nigdy. Wyobrażenia i czyny jednostek, grup, stronnictw, wreszcie narodów wywierają na bieg rzeczy wpływ zagregowany, składając się na sumę lub wypadkową czynników sprawczych niezależną od ludzkiej woli — indywidualnej czy wspólnotowej. Wyjęcie procesu historycznego poza domenę decyzji, *ethosu* i odpowiedzialności było pomysłem na wykluczenie dziedzictwa narodowego z pola uwagi publicznej, na zamknięcie go w zapomnianym przez wszystkich silosie pamięci, przeglądany jedynie przez profesjonalnych historyków na potrzeby ich kariery akademickiej.

W bez mała sto czterdzieści lat później trzeba w końcu powiedzieć, że decyzja, aby w manifestie ukazującym grono współpracowników pisma jako zwarte stronnictwo posłużyć się przeciwstawieniem „młodzi” — „starzy” dla współczesnych mieć musiała charakter irytująco perfidny. Z pozoru nie budziła ona zastrzeżeń, gdyż przeciętna wieku po stronie przeciwnej była wyższa aniżeli pośród kolegów Świętochowskiego. W gruncie rzeczy jednak przeciwstawienie to agresywnie deformowało stan rzeczy. Wśród „starych”, czyli autorów publikujących w „Kurierze Warszawski” bądź „Kłosach”, znalazłby się niejeden „młody”. To oni wręcz, jeśli wierzyć późniejszej relacji Chmielowskiego, mieli poczuć się najboleśniej dotknięci przez manifest Świętochowskiego:

Najdotkliwiej atoli draśnięci zostali nie starzy już kierownicy prasy, ale ci młodzi jej współpracownicy, co w „Kurierze” zwłaszcza i pismach tygodniowych pisząc drobne wiadomości lub felietony, zezem patrzyli na krzątających się około rozpowszechnienia nowych dążeń...³²

Przede wszystkim jednak nazwanie własnych popleczników — nie pytajmy już, na ile bezwarunkowych oraz czy za ich wiedzą Świętochowski palił mosty i zrywał groble, po których mogliby się wycofać³³ — „młodymi” było oburzającym przejęciem nomenklatury obiegowej w dyskursie publicznym przed i w trakcie powstania styczniowego. Wówczas „młodymi” nazywano jeśli nie wprost „czerwonych”, to w każdym razie konspiratorów prących do walki zbrojnej, starymi zaś tych, którzy starcia zbrojnego chcieli albo w ogóle uniknąć, albo je przynajmniej odwlec³⁴.

³² P. Chmielowski, *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu*, Wilno 1881, s. 54.

³³ „Wiemy to – między naszymi obozami popalone mosty, pozrywane groble” (A. Świętochowski, *My i wy*, op. cit., s. 57).

³⁴ Z wielu świadectw ówczesnych wymienię trzy: listy Józefa Aleksandra Miniszewskiego drukowane w roku 1861 w „Dzienniku Powszechnym” oraz tytuły Józefa Ignacego Kraszewskiego *Dziecię Starego Miasta* i Michała Bałuckiego *Młodych i starych. Powieść z niedawnych lat* publikowaną w roku 1866. Cykl artykułów Miniszewskiego został ujęty w ramę narracyjną korespondencyjnych instrukcji, przekazywanych młodemu „wychowańcowi” z pozycji „starych weteranów pracy”. W pierwszym liście mowa o wywróceniu przez „ruch” naturalnej hierarchii, jakiej wymaga proces wychowawczy: „Młodość ruch sprawiła, a rekrutowaliście do tego ruchu coraz młodszą generację. Ojcowie tej dziatwy parzeli

Świętochowski przeciwstawienie to – a za nim bodaj cała historycznoliteracka tradycja badawcza narosła po drugiej wojnie wokół „warszawskiego pozytywizmu” — stawia na głowie³⁵. „Młodych” nazywa „starymi”, zaś nowe pokolenie „starych”, którzy uważali powstanie za karygodną zbrodnię nim jeszcze wybuchło, dla odmiany — „młodymi”. Po czym zabiera się do wymyślania „młodym” sprzed niespełna dekady, zatem dziś trzydziesto-, czterdziestolatkom, że posnęli i tchórzliwie wycofali się z dzielnego stawiania czoła wyzwaniom chwili. Mianowicie wciąż jeszcze żywią rozkoszną iluzję, jakoby ich świat wokół stał, nie zaś legł w gruzach. Odmawiają naukowo, trzeźwego dystansu w rewidowaniu wartości, dla których co prawda właśnie w przeciągu ostatnich lat dziesięciu ryzykowali życie i za które płacili w kazamatkach bądź w syberyjskich osadach. Ani myślą też obalać autorytety, które w ich świadomości nie zdołały obalić rosyjskie wojska oraz jawne i tajne policje Królestwa.

Wspomniałem wyżej o podawaniu skrajnego lojalizmu za sprawdzian odwagi, gdyż tak się jakoś splata, że Świętochowski, skądinąd pasjonat naprawy społecznej, w swoich młodzieńczych tekstach jest porywająco niezależny, lecz tylko w odniesieniu do stereotypów opinii patriotycznej. Zarazem jego pomysł na zachowanie się wobec stu-letniej rocznicy pierwszego rozbioru — rewizje autorytetów, ataki na kler i szlachtę³⁶, przede wszystkim zaś konsekwentne promowanie hasła „Ołtarze i bogi nasze nie za nami, ale przed nami”, przeżywanie doby obecnej jako pierwszego dnia przyszłości, a nie ostatniego przeszłości³⁷ — pomysł ten w niczym nie kolidował z realizowaną przez administrację Królestwa strategią władzy obcego. Można by też widzieć w nim konsekwentne wypełnienie postulatów autora broszury z 1865 roku zatytułowanej *Nasza polityka wobec Rosji*:

Mieć zdanie przeciwne tak zwanej opinii powszechnej uchodzi za rzecz hańbiącą, podczas gdy za hańbę uchodzić raczej powinno kłanianie się bożyszczu, w które się nie wierzy³⁸.

Więcej nawet. Jakby to osobliwie nie brzmiało, całą prasową kampanię „pozytywizmu warszawskiego” z jego utalentowanym trybunem na czele potraktować można

na to obojętnie, zapominając, że prawdziwy patriotyzm nauką i karnością buduje pokolenia do przyszłych prac publicznych” (J. A. Miniszewski, *List o odwadze cywilnej*, „Dziennik Powszechny” 1861, nr 16, s. 61). Opustoszone pole rozumnego wpływu społecznego przejęli „ludzie grzeszni” — i to oni „pchają młodzież” (*ibidem*, s. 62).

³⁵ O tym także nie dowiemy się z *Zarysu literatury...* Chmielowskiego, choć był na miejscu i w samym centrum zdarzeń.

³⁶ M. in. w *Na straży i Projektomanii*.

³⁷ W wersji z manifestu: „pragniemy [...] skierować uwagę przed, a nie poza siebie [...]” (A. Świętochowski, *My i wy, op. cit.*, s. 57).

³⁸ [K. Krzywicki], *Nasza polityka wobec Rosji. Jaka być powinna?*, Lipsk 1865, s. 3.

jako rozpisaną na kilkadziesiąt artykułów, aplikowaną stosownie do zdarzeń dnia, parafrazę jednego akapitu wyjętego z lipskiej broszury Krzywickiego:

Chodzi nam o to, aby bez przesady, bez złudzeń, bez uniesień poetycznych przedstawić narodowi jego dzisiejsze położenie, ocenić krytycznie niektóre przesady i fałszywe opinie, którym ulega, aby mógł z trzeźwością, zimną krwią i tą pewnością siebie, jaką nadaje umiarkowanie oraz przezorne obliczenie i zbadanie danych stosunków, przystąpić do naprawy swego losu, który jest oplakany³⁹.

Judząca publicystyka „Przeglądu Tygodniowego” z pewnego oddalenia mogła wręcz uchodzić za przejaw samorzutnego formowania się środowiska gotowego na współpracę z władzami w imię „wspólnego dobra”⁴⁰. Nacjonalistyczna prasa rosyjska znajdowała w tym piśmie podręczną kolekcję użytecznych cytatów:

Wczoraj czytałem w „Głosie” kropienie naszej prasy, a szczególnie „Gazety Warszawskiej”, dla której zacytowano moje słowa. Smutna to sława”⁴¹.

Rzeczywiste pole wyboru strategii redakcyjnej na ówczesnym warszawskim rynku prasowym zarysował w swym roboczym, wolnym od fanfar, *Przeglądzie prasy periodycznej* Stanisław Krzemiński. Píše tam nie bez racji:

Czasopiśmienność [...] tak się już wzmogła w organa i siły, [...] tak się zrosła z czytającym ogółem, że [...] umysłowość nasza przeważnie w niej się zamyka⁴².

³⁹ *Ibidem*, s. 23. Dalej autor zaleca „wytrwałą pracę” i „rozumną oszczędność” (por. rozwinięcie tego wątku w: [A. Świętochowski], *Diabli wiedzą na co*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 38).

⁴⁰ Kazimierz Krzywicki w roku 1872 żywił nadzieję, że „z najszlachetniejszych pierwiastków rozbitej polskiej społeczności utworzy się [...] wielkie konserwatywno-słowiańskie stronnictwo” (*idem, Polska i Rosja w 1872 r., przez b. członka Rady Stanu Królestwa Polskiego*, Drezno 1872, s. 76).

⁴¹ Cyt. za: M. Brykalska, *op. cit.*, s. 65–66. Autorka ogranicza się do uwagi, że „rozterka” taka „w przyszłości miała często towarzyszyć podobnym echem jego krytyki życia publicznego kraju”. Myślę, że znacznie częściej towarzyszyła współczesnym Świętochowskiego. Dla pełności obrazu pozytywizmu warszawskiego recepcję rosyjską materiałów „Przeglądu” trzeba by po prostu zbadać — podobnie jak filiacje w drugą stronę: pokątne przedruki z prasy rosyjskiej w „Przeglądzie”.

⁴² [S. Krzemiński], *Przegląd prasy periodycznej*, „Kłosy” 1872, nr 341, s. 35. Z tej samej strony również dwa kolejne cytaty.

Krzemiński jest przekonany, że panujące między redakcjami „egoistyczne rozosobnianie się i szkodliwa rywalizacja”, będące skutkami zupełnej erozji „wzajemnej ufności”, nie mają nic wspólnego z różnicowaniem się opinii w palących kwestiach dnia. Języki użyteczne w wewnętrznej pracy ekip redakcyjnych są dziś tak różne od oficjalnego języka publikacji, wymuszanego na piszących przez cenzurę i konflikty środowiskowe, że daje się dotkliwie odczuć brak jakiegokolwiek języka wspólnego, koniecznego dla prowadzenia nieupozorowanej debaty publicznej. Każdy z dziennikarzy wie, że i on sam, i jego partner w dialogu, mówiąc, mówią co innego niż mówią, że mówią. Co innego mówi cenzorowi, co innego, skrycie, publiczności rodzimej, co innego niezorientowanemu „ogółowi”, co innego ludziom ze środowiska literackiego, wreszcie — co innego swoim poplecznikom, a co innego konkurentom. W wielojęzycznym zgłędku głosów o rozszczepionej asercji — w to, co się mówi publicznie raz się wierzy samemu bez zastrzeżeń, kiedy indziej tylko warunkowo, połowicznie albo wcale, po czytelnikach spodziewając się za każdym razem tego samego lub czegoś wręcz przeciwnego — wśród wzajemnych, wielopoziomowych odniesień, jawnych i utajonych komentarzy do komentarzy nikt już nikomu nie ufa, nikt nikogo nie słucha, wszyscy poprzestają na propagowaniu własnego programu bez oglądania się na programy cudze⁴³. A jednak, mimo wszystko, na rynku zderzają się dwie strategie konkurencyjne.

Świętochowski wierzył lub raczej tylko udawał, że wierzy, jakoby dwój-, trój-, n-mowę wymuszaną przez jednoczesną presję cenzury rządowej i nieformalnej opinii patriotycznej można było przelamać, meandrując między Scyllą a Charybdą, w szczególności zaś odmawiając rzeczywistości Charybdzie. Lenartowicz w swym memoriale *Do artystów polskich w sprawie Muzeum Rapperswyłu* rozwiązanie widział w zejściu do „mowy katakumb”, czyli symbolicznego języka sztuki. Nie chodziło przy tym bynajmniej o trywialne ezopowe parable, lecz o posługiwanie się w ważnych sprawach wspólnoty mową wiążącą pamięć początku kultury z przeżyciem aktualnej, bieżącej w niej obecności⁴⁴. Świętochowski z pewnością na opcję taką nigdy by nie przystał.

Dla Krzemińskiego natomiast linia nie nazwanego wprost „Przeglądu Tygodniowego” grzeszy nagannym kreacjonizmem, ambicją kształtowania opinii publicznej wła-

⁴³ Do podobnych wniosków dochodzi Świętochowski, pisząc o „komedii słowa, które zakrywa sedno rzeczy”, „o niegodnym nadużyciu słowa w literaturze, a mianowicie w prasie periodycznej, o nadużyciu, które sprawia, że to, co się pisze, jest wprost przeciwne temu, co się myśli” ([A. Świętochowski], *Frazeologdy*, „Przegląd Tygodniowy” 1871, nr 46, s. 374). Prasa warszawska stoi na „dwulicowości” (*ibidem*). Główną troską piszących jest pilnowanie się, by nikogo nie urazić. Prasa sparaliżowana surową wzajemną kontrolą środowiskowej poprawności cierpi na inflację słowa. Nie mogąc niczego powiedzieć szczerze o niczym, rozwodzi się obszernie o niczym. Problematykę tę podejmuje również bezimienny autor „Opiekuna Domowego” (por. [b.a.], *Pozowanie*, „Opiekun Domowy” 1872, nr 37).

⁴⁴ Por. T. Lenartowicz, *Do artystów polskich w sprawie Muzeum Rapperswyłu*, Drezno 1871, s. 15.

snymi, selekcyonowanymi przez redakcję przekonania, postawami i diagnozami⁴⁵. Niewymienionym z tytułów „Kłosom” i „Tygodnikowi Ilustrowanemu” właściwa jest orientacja encyklopedyczna, także wobec opinii publicznej aktywna, bo mobilizująca uwagę i ciekawość świata. Właściwym zadaniem prasy jest

nie udzielanie nauki, ale zawiadamianie o tym, co się w nauce dokonuje, nie wytwarzanie prawdy, ale roznoszenie już wytworzonej. Rola literatury jest rolą pośrednika między życiem ogólnym i postępem a pojedynczymi umysłami. [...] Pierwszym jej przymiotem i zarazem obowiązującym ją prawem jest żywotność; przywilejem zaś a przy tym i zasługą encyklopedyczność.

Krzemiński nie ma dobrego zdania o właściwej „Przeglądowi Tygodniowemu” egzaltacji chwilą i wdawaniu się w polemiczne burdy dla podniesienia nakładu. Do tytułów prasowych odnosi zasadę obowiązującą wobec autorytetów publicznych: liczy się renoma, a nie rozgłos. Dlatego autor, wyraźnie w odruchu sprzeciwu wobec manifestu *My i wy*, deklaruje uznanie dla „Biblioteki Warszawskiej”, oskarżanej wielokrotnie przez Świętochowskiego o bezwład i niekompetencję.

Owszem, my szanujemy siły już wypracowane, wyrobione, mamy w nich rękomię ich przeszłości, nie uważamy ich za niezdolne do pracy inteligentnej, do podążania za rączym kołem czasu, bo siły inteligencji nie mierzą się dla nas wytrzymałością nóg, siłą pięści i żywością gestykulacji⁴⁶.

⁴⁵ W istocie rzeczy ambicje „Przeglądu Tygodniowego” szły dalej, aż do szczelnego wypełniania bieżącej świadomości jednostki. Anonimowy autor wyróżnia pisma „instrukcyjne i społeczne”. Do tych drugich, „pism z tendencją społeczną” zalicza „Przegląd Tygodniowy”. Ich zadanie jest „drażliwsze i bardziej złożone”. Bo prócz „instrukcji” muszą także mieć „rozum codzienny; pytane co dzień, muszą co dzień [...] wszystko objaśniać, o wszystkim radzić [...]” ([A. Świętochowski?], *Dla czego? op. cit.*, s. 169). Świadomie czy nie, autor podejmuje idee Miniszewskiego (wraz z motywem stronnictwa jako „falangi”), wyłożone w artykule o opinii publicznej. Pisał tam (z równym lekceważeniem dla warunków cenzuralnych w Królestwie): „Organa prasy periodycznej powinny stać się wyrazem zbiorowych usiłowań myślących obywateli. Każdy dziennik musi sobie postawić stałe zasady, opatrzyć kierunek uczciwy. Wtedy dziennik wodzować będzie jakiejś falandze obywateli, pracujących szczerze i odważnie wokół dobra pospolitego [...]” (J. A. Miniszewski, List IV: *O opinii*, „Dziennik Powszechny” 1861, nr 34, s. 146). Jak widać, Miniszewskiemu również bliski był charakterystyczny dla Świętochowskiego rodzaj odwagi cywilnej, zasadzającej się na nieuleganiu terrorowi opinii patriotycznej. Postawę tę pisarz przyplacił życiem.

⁴⁶ *Ibidem*, s. 69.

Dlaczego brudny boks uprawiany na łamach „Przeglądu Tygodniowego” nie budzi entuzjazmu Krzemińskiego, on sam nie może powiedzieć wyraźnie. Jednakże nietrudno odgadnąć, że czas *objedinenija*, zaprowadzania radykalnej odgórnjej reformy administracji i porządku prawnego nie wydawał mu się porą właściwą dla rozwijania krytycznej i rewizjonistycznej batalii.

Świętochowski programowo skrupułów nie uznawał. Nie mogąc przez jedną noc wymienić społeczeństwa dzieciinnego albo tkniętego śmiertelnym letargiem (wahał się między tymi dwoma obrazami) na społeczeństwo nowe, dojrzałe — w ambitnym tekście programowym w 1873 roku pisał o „absenteizmie społeczeństwa”, a nie tylko jednej czy kilku jego warstw⁴⁷ — próbował chociaż skorygować anachroniczną opinią publiczną, wymazać ze zbiorowej pamięci uprzedzenia nagromadzone przez stulecie niewoli, powymyślać z martwych dłoni „sztandary spleśniałe”, aby potem w pustym polu rozstawiać swoje ściśle aktualne, trzeźwe i naukowe drogowskazy wiodące ku przyszłości nowoczesnej, europejskiej i ogólnosłowiańskiej zarazem. Nie inaczej niż Kazimierz Krzywicki w swojej broszurze na stulecie rozbioru, on także każe nam poddawać „wszystkie czynności pod zimny sąd samego rozumu”, nakazując „z dokonanymi faktami ciągle się rachować”, ale się w nich nie grzebać⁴⁸. Bowiem gruz jest to tylko gruz.

Czyż w Warszawie na dziesięciolecie manifestacji religijno-patriotycznych, siedem-osiem lat po krwawym powstaniu, w społeczności tak podminowanej wzajemnymi oskarżeniami, insynuacjami, pretensjami, złymi emocjami i złymi wspomnieniami trzeba było więcej, by nadaktywnego Aleksandra Świętochowskiego, panoszącego się w każdym numerze tygodnika, mieć serdecznie dość? To nie wszystko. Łatwo dostępna w Warszawie renegacka broszura Kazimierza Krzywickiego jako wariant skrajny z pewnością była znana w środowisku dziennikarskim. Radca Stanu, minister oświaty u Wielopolskiego, nie wypadł sroce spod ogona wprost na leże lipskie. Nietrudno zatem wyobrazić sobie, w jakim stanie ducha czytało się wówczas kolejne szermiercze parady Świętochowskiego, utalentowanego młodzieńca na łamach „Przeglądu Tygodniowego” tryskającego pomysłami, jakby tu jeszcze rozpisać na tysiąc wierszy miesięcznie zalecenia z niedawnej broszury rozsądnego, trzeźwego i przewidującego mentora z Lipska.

Nawet złagodzona, w znacznej mierze konformistyczna wobec opinii publicznej, secesjonistyczna wersja „pozytywizmu”, rozwijana przez „Niwę” i „Opiekuna Do-

⁴⁷ Por. [L. Mikulski, A. Świętochowski], *Praca u podstaw. (Ogólne jej pojęcie)*, „Przegląd Tygodniowy” 1873, nr 10–12, 14, 16, 18, 25. Cytat z nru 11, s. 89.

⁴⁸ Por. [K. Krzywicki], *Nasza polityka...*, *op. cit.*, s. 6. *Nota bene* były Radca Stanu daleki był od młodzieńczej, niecierpliwiej naiwności Świętochowskiego. Reorientacja zbiorowej świadomości, tak aby odwróciła się od kultu utraconej przeszłości ku energicznemu podbojowi przyszłości, wymaga wsparcia rządowego i wieloletnich starań. „Zaledwie w sto lat udać się może, i to przy niezmienniej konsekwencji w rządowym działaniu, jakąś zasadę porządku publicznego tak ściśle z pojęciami narodowymi zespolić, że już odtąd jakby w krew narodu przechodzi i dalej sama siebie broni” (*ibidem*, s. 46).

mowego” nie przetrwała kryzysu 1876 roku. Groza nadciągającej wojny europejskiej, w której wszystko zdarzyć się mogło, w ciągu paru miesięcy zdarła z prasy warszawskiej pokłady „póz” i „frazesów”, wymuszając ujawnienie rzeczywistych afiliacji politycznych. Pozytywizm warszawski, ta osobliwa hybryda nowoczesności i duszy słowiańskiej, prozachodniego dyfuzjonizmu — utopii przeszczepiania zachodniej technologii do protektoratu administrowanego z Petersburga — i scjentyzmu z utajonym panslawizmem, a nawet tylko ze słowianofilstwem, próby tej nie przetrwał.